TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II. Nr.21 /29/ 151 East 67 Street, New York, N.Y. 21.V. 1942

Wielki obowiązek.

Sprawy słowiańskie, jedność słowiańska, słowiańszczyzna, które przez długie lata uchodziły za słowa puste i przebrzmiałe stały się znowu modne, reklamowane na wszystkie strony, odbywają się zjazdy, kongresy krzyżują się szumne depesze, snują się projekty wielkiej wspólnej przyszłości; sprawa została wyciągnięta z lamusa historycznych utopii; trzeba więc zdać sobie sprawę, dlaczego tak się stało i co z tego może wyniknąć.

Jeżeli chodzi o rzeczywistą jedność słowiańską - to nie ulega żadnej wątpliwości, że pierwszy krok w tej sprawie zrobiła Polska w najszlachetniejszym odruchu powrotu do swych wielkich tradycji, nie dających się niewątpliwie pogodzić z warunkami, w jakich sprawa Zaolzia była załatwiona. Naród polski, który miał swój pogląd ustalony na przynależność tej ziemi i na sposób w jaki dostała się ona Czechom - miał też własną zbiorową opinię o formach, w jakich przystoi Polakom praw swoich dochodzić. Śmiało też można powiedzieć, że powrót Zaolzia tak jak się dokonał, jeśli wzbudził wiele bezmyślnych manifestacji i lekkomyślnych artykułów, pozostawił w zbiorowem sumieniu polskiem poczucie odstępstwa od polskich tradycji, nie mówiąc już o tem, że w ówczesnych warunkach nie był oczywiście żadnem zwycięstwem. Jeden z moich kolegów z Ambasady w Paryżu bardzo trafnie wyraził to, co wszyscy niemal wtedy czuli w głębi sumienia, mówiąc do mnie, po wysłuchaniu tromtadrackiego radia z Warszawy: "Przyznam ci się, że wolałem Somosierrę".

Rząd Polski w Paryżu dopełnił też napewno aktu woli narodowej, nawiązując z Czechami na wygnaniu przyjazne stosunki, kładąc podwaliny pod późniejsze porozumienie i śmiało powiedzieć można, że ulżył tem sumieniu narodu polskiego, który okazał i w tem także swą moralną wielkość że umęczony i bez miary cierpiąc chciał jak prawdziwi męczennicy za wyższą sprawę zetrzeć wszystkie swe grzechy i powrócić całem sercem do swej wielkiej jagiellońskiej i mickiewiczowskiej wiary.

Ten akt Rządu Polskiego był więc natury moralnej przedewszystkiem, bo politycznie biorąc, mogła istnieć różnica zdań zarówno co do

kierunku czysto geograficznego przyszłych naszych porozumień, jak też co do osób, z którémi przychodziło Polsce współpracować; żeśmy nad tem wszystkiem przeszli do porządku, żeśmy nie grzebali w antypolskiej przeszłości naszych nowych sojuszników - dowodziło to, że stawiamy sprawę polsko-czeską na tej wysokiej płaszczyźnie, z której należało oceniać wszystkie wydarzenia tej niezwykłej wojny i z której patrząc, można było lekceważyć względy taktyki i wszelkich prestiżów.

Był to też moment znakomity, aby od tej strony w tych wielkich liniach rozpocząć robotę, której formy realne: federacja, unia, stany zjednoczone, czy całkiem luźne porozumienie mogły wykluć się potem, ale której podstawy moralne, niezależne od politycznych wyrachowań, należało kłaść odrazu na gruncie wielkiego poruszenia dusz, wywołanego tak okrutną wojną, tak strasznem cierpieniem i poczuciem winy tylu narodów. Polska opinia, odwykła od twórczego udziału w polityce, nie umiała w tej chwili wypowiedzieć się jasno, ale nie będzie przesadą, gdy stwierdzimy, że Polska poczuła wtedy znów, że jest naprawdę Chrystusem narodów, że jej dziejowa misja moralna jest jej niezmiennem przeznaczeniem i każdy Polak podświadomie pragnął powrotu do wielkiej polskiej tradycji, oczekując że zgoda polsko-czeska, będąc oczywiście tylko fragmentem większej całości, będzie też początkiem wielkiej roboty duchowej, umysłowej, co wcale przecież nie znaczy utopijnej i nierealnej.

Ta robota czy miałaby w dalszym swym rozwoju doprowadzić do jakichś ogólnych rozwiązań czy zamknąć się w mniejszych ramach - byłaby, trzeba to wciąż podkreślać, tylko powrotem do wielkich polskich tradycji, tych które zawsze niosły ze sobą, jako niezmienny związek przyczyny i skutku, polską wielkość duchową i potęgę Polskiego Państwa.

Miały też te tradycje swe dawno wyżłobione łożysko, którym płynął najpierw wielki nurt myśli jagiellońskiej i przez który później runął wspaniały potok poezji Mickiewicza i jego natchnionej wymowy.

Nazywać tej tradycji słowiańską niepodobna, bo nietylko słowiańszczyzny ona dotykała i była ona zawsze przeciwieństwem wszelkiego rasizmu - z drugiej jednak strony nietylko że geograficznie obejmowała ona większość słowiańszczyzny, ale można powiedzieć że w idei mickiewiczowskiej zawarła ona i wspaniałe ideały wszystkich słowian wolnych, wszystkich wolnych duchów słowiańskich.

W ostatnich czasach przychodziło nam nieraz uświadamiać sobie z goryczą jeśli nie z rozpaczą naszą wielką zmarnowaną okazję historyczną i przypominać sobie, że za Batorego i Zygmuntów stała przed Polską otwarta możliwość objęcia naczelnej roli na Wschodzie, że mogliśmy ponieść do Rosji polsko-łacińską kulturę i nietylko sami uniknąć iluż katastrof, ale naprawdę odwrócić bieg, jak dziś widzimy, całej historii.

Otóż, jeśli owa historyczna możliwość w sensie politycznych podbojów należy do raz na zawsze zamkniętej przeszłości - musimy zdać sobie sprawę, bo przyszłość nasza od tego zależy, że w XIX w. Polska dzięki Mickiewiczowi dokonała prawdziwego podboju ludów, że Mickiewicz panował duchowo nietylko nad słowiańszczyzną, ale w pewnym okresie i nad Rosją samą i że tak pojęta przewaga Polski wciąż jest zarówno jej dziejową możliwością, jak też jej dziejowym obowiązkiem. Tylko bardzo krótkowzroczni i bardzo fachowi politycy mogliby taką przewagę lekceważyć i nie zdawać sobie sprawy z jej realnego, politycznego znaczenia.

Bo przecież nietylko że Polska jagiellońska wyrosła na tej przewadze, na tem promieniowaniu polskiej kultury, ale kto jasno patrzy na naszą historię porozbiorową i na jej skutki dla odrodzonej Polski, ten musi przyznać że największą potęgą Polski podbitej były oprócz jej wodzów i żołnierzy przedewszystkiem jej literatura i sztuka, że sława nasza w Europie zarówno na Zachodzie jak Wschodzie była dziełem idei ogól

nych, które podniósł Mickiewicz, że jego legenda we Francji utożsamiwszy się z Polską służyła nam po ostatnie czasy jak najbardziej rzeczywisty atut polityczny, że żadna nigdzie przez nas robiona propaganda, tę wyłączywszy która była dziełem również artysty Paderewskiego, w milionowej części nie dała nam tego co dał swoją szeroką, jak się dziś mówi uniwersalną a tak zarazem polską ideą - Mickiewicz.

Jest rzeczą jasną, że wśród ludów słowiańskich, zbliżonych do nas językiem, dla których dostępne było całe piękno i głębia naszej wielkiej poezji - nasz wpływ kulturalny o nieobliczalnych możliwościach politycznych był największy, a nigdy przez nas niedoceniany i niewyzyskany.

Kiedy kilkanaście lat temu byłem wraz z przyjaciółmi w Pradze dla odczytania publicznie naszych poezji i nawiązania stosunków z pisarzami czeskimi - miałem możność przekonać się o znaczeniu tam wciąż niezwykłem polskiej literatury, polskiej kultury, o możliwościach nieprzeczuwalnych przez nas jej wpływu.

Stosunki polityczne polsko-czeskie były wtedy, jak przez cały niemal czas, powiedzmy międzywojenny, nieufne i naprężone, na każdym kroku odczuwaliśmy też, że Czesi bardzo są dumni ze swych uzdolnień praktycznych, że chętnie nam świecą w oczy swoją techniką, amerykanizacją i różnemi z tych dziedzin zaletami,których naprawdę mogliśmy się byli od nich uczyć.

Z tem większą radością widzieliśmy, że świetność Polski w dziedzinie literackiej, jej wielkie tradycje kulturalne, znaczenie wielkich polskich pisarzy były przez Czechów uznawane nietylko lojalnie ale szczerze, skwapliwie i z entuzjazmem, że wszystko co powstawało dobrego w polskiej literaturze było samorzutnie tłumaczone na czeski, grano w czeskich teatrach a cóż dopiero mówić o owych dziesiątkach Czechów i to nie koniecznie naszych przyjaciołach, mówiących znakomicie po polsku, albo o przyjaciołach tak niezwykłych jak poeta Jirzi Karasek ze Lwowic, który mieszkał w Pradze, zamknięty w swem muzeum polskich książek i obrazów, rozmarzony polską poezją i odcięty od otaczającego go, jak uważał, zbyt przyziemnego świata.

Byłem wtedy pewny, mówiłem to nieraz komu należało i dziś jestem o tem przekonany, że na drodze wzmożenia tego wpływu polskiej literatury polskiej sztuki, na drodze uprzystępnienia Czechom tej Polski, którą oni sami uznawali i wielbili stała wielka poprawa politycznych stosunków polsko-czeskich, że występując w Pradze z wielką polską tradycją, tradycją mickiewiczowską nie jako z chwytem propagandowym ale jako z głęboką, twórczą ideą mogliśmy odwrócić bieg wielu wypadków, które dziś wydają się nam, że były nieuniknione.

I jestem też pewny, że wszystkie pomysły federacyjne, jakiekolwiek byłoby ich uzasadnienie polityczne, ekonomiczne czy wojskowe nie zdołają nigdy wyjść ze świata pięknych teorii i nawet mozolnie zrealizowane załamią się przy pierwszej okazji, jeżeli nie będą spojone przez wielką myśl, wielką ideę, która stanie się własnością i dobrem wszystkich owych połączonych ludów - jak był nią humanizm Jagiellonów i bohaterski uniwersalizm Mickiewicza; że taką myśl, taką ideę Polska przedewszystkiem powinna podnieść wydaje mi się też jasne i niezbędne.

Jeżeli mówimy, że Polska była zawsze przedmurzem cywilizacji, to myślimy zarazem o tem co dla niej czynili żołnierze polscy i polscy twórcy, o tem co zdziałali dla niej zarówno Batory, Sobieski, jak Mickiewicz Chopin czy pani Curie i ten związek polskiego wojska i polskiej kultury jest chyba najbardziej polskim i najbardziej własnym skarbem naszej historii.

Otóż widzimy dzisiaj, że naród polski wypowiedział się już przez wojsko, że jak zawsze pierwszy stanął on zbrojnie w obronie chrześcijań-

stwa i wolności, że nasi żołnierze dokonali i dokonują wciąż tego, co zdziałali husarze z pod Wiednia, Bem i Dembiński na Węgrzech, Skrzynecki w Belgii, Piłsudski na Łotwie, i jak im niegdyś - dziś żołnierzom generała Kopańskiego, lotnikom naszym z Londynu zawdzięczamy utrzymanie tego przodownictwa Polski w dziele ogólnej wolności, którego nigdy ona się nie zrzeknie.

Ale to nie jest wszystko i właśnie wobec bohaterstwa polskiego żołnierza uderza milczenie polskiej myśli, która zawsze prowadziła go czy szła jego śladem; uderza tylko jakby taktyczno-polityczne, tylko dyplomatyczne pojęcie przez Polskę jej obowiązków względem przyszłości Europy, wobec naszych sąsiadów, pojęcie, jesteśmy tego pewni, wąskie, niecelowe, wobec świetnych naszych tradycji niepełne i nierealne.

Na uroczystości, którą niedawno PENClub londyński czcił swoich słowiańskich kolegów i na której pięknie przemawiała Maria Kuncewiczowa - literaturę jugosłowiańską przedstawiał i mówił w imieniu pisarzy jugosłowiańskich ni mniej ni więcej tylko sam młodziutki król Piotr /bardzo dobry kandydat na naczelną osobę federacji z siedzibą w Warszawie/ sławiąc, jak to myśmy zawsze czynili zarazem bohaterów i artystów, generała Michajłowicza i Mestrowica.

Jest to dla nas piękne przypomnienie, jak rozumieć znaczenie kultury i myśli dla państwa, jak nie zaprzęgąc sztuki do codzienności politycznej, w niej szukać sił twórczych, wielkich idei, zdolnych służyć krajowi, świat zmieniać i ulepszać, jest to zarazem ostrzeżenie dla nas, że rola przez tyle wieków przez Polskę pełniona utrzyma się przy niej tylko za cenę świadomego wysiłku, który musimy dla jej zachowania podjąć.

Jest to wezwanie do wszystkich, bo nietylko pisarze i myśliciele polscy, ale cały naród dziedziczą, dziedziczyć muszą to, co nam twórczego, wielkiego pozostawiła nasza historia, nasza poezja i sztuka i na co tyle razy zdawkowo powołujemy się, niedość jakby rozumiejąc, że ta świetna tradycja nakazuje nam wysiłek myśli, szerokość spojrzenia, wspaniałomyślność idei, wyższe nad przemyślność politycznej taktyki i banalność propagandy.

Sprawa słowiańska nie za polską inicjatywą wraca dziś do dyskusji, do rozważania, na wiece jako właśnie chwyt propagandowy, jako rasistowski pretekst dla nowego imperializmu, w innej deklamacji powracają na różnych kongresach te same słowa, któreśmy kiedyś słyszeli z ust dawnych panslawistów, schlebiających jednym słowianom zagranicą, aby innych u siebie gnać na Sybir i wieszać na szubienicy.

Jest więc najwyższa pora, aby Polska, która tak szlachetnie pospieszyła z uznaniem swych win względem swego także przecież winnego czeskiego sąsiada i która dokonała prawdziwego bohaterstwa przebaczenia tworząc armię polską w Rosji zdała sobie sprawę, że w jej ręku tkwi sztandar nie jakiejś śmiesznej słowiańskiej wyłączności, ale sztandar Mickiewicza, sztandar wszystkich wolność miłujących ludów.

Na ten sztandar przedewszystkiem właśnie ludy słowiańskie patrzały zawsze z miłością i nadzieją, on był symbolem, wkoło którego skupiały się ich marzenia, ten sztandar też, na którym mógłby widnieć nasz Orzeł Jagielloński jest najczystszym, niezbrukanym godłem związków równych z równymi, wolnych z wolnymi.

Zarówno Rząd Polski jak też polscy myśliciele i twórcy, ci wszyscy, którzy mają prawo i powinni czuć się odpowiedzialni za tradycję Mickiewicza - muszą tą ideę podjąć bez żadnych ubocznych myśli i zarazem z poczuciem zasług Polski dla wspólnej sprawy i jej bezmiernych dla niej poświęceń.

Jan Lechoń

Orfeusz.

1

Rankiem wstaję z przeszłości, podnoszę się z dna,
Sny odchodzą mi w oczach, przeminione lata,
Potykam się: sekundę senna wieczność trwa
I spłoszona z otwartej powieki odlata.

Patrzę: naprzeciw kasztan, ciemne żebra ścian,
A dokoła przedmioty, znajome dotknięcia.
Wiem już, poznaję: pamięć snów dawnych i ran
Odbita stoi w lustrze. Budzę się z nieszczęścia.

2

Górą złote powietrze, tu różowa mgła,
Drzewa z przędzy utkane, ciepła jesień płynie -
I nagle cierpnę w świetle, w samym środku dnia
Zastygam utopiony, jak komar w bursztynie.

Nie budź mnie. Tu nad miastem widzę, jak przez szkło,
Mijający mnie natłok pusty i wesoły.
Z wież gołębie sfrunęły. Szczęście tędy szło,
Uniosły je wysokie i smutne anioły.

3

I płynę już i lecę, pod wieczór, pod mgłę,
I słyszę jak mnie w nocy głos znajomy woła.
Gram aniołom i nie wiem, dobre czy też złe,
Księżycowi mnie niosą wysoko nad domy.

Spójrz jak lekko, bez cienia, przedmiotów i ścian
Urzeczonemu płynąć z powrotem po niebie.
Nie wołaj mnie. Wychodzę z pamięci i ran.
Orfeusz wraca z piekła, nie patrzy za siebie.

Kazimierz Wierzyński

"Róża wiatrów" - Kazimierza Wierzyńskiego.

/Z powodu ukazania się tomu poezji Kazimierza Wierzyńskiego p.tyt.: "Róża wiatrów" Klub Polski przy Universytecie Columbia urządził w sali Biblioteki Publicznej przy Tompkins Square uroczystość dla uczczenia tej pierwszej książki poety, która ukazała się w Stanach Zjednoczonych. Uroczystość odbyła się przy udziale bardzo licznej publiczności i była równocześnie pamiętną manifestacją kultury polskiej. Wieczór zagaił zasłużony dla sprawy polskiej Dr Coleman. Przemawiali pp.konsul Jachimowicz w zastępstwie nieobecnego w Nowym Yorku Min.S.Strakacza, Zygmunt Słuszka, kierowniczka działu polskiego Biblioteki przy Tompkins Square p.Józefa Bernhard, Red.P.Yolles oraz Red.S.Strzetelski. P.Albina Kruszewska recytowała swój przekład angielski wiersza "Oda prowincjonalna",potem artystka teatrów warszawskich p.K.Tiche recytowała kilka poematów z nowego tomu

Wierzyńskiego. Na zakończenie zabrał głos sam poeta i przeczytał kilka swoich utworów. Ta piękna manifestacja kulturalna na długo pozostanie w pamięci jej uczestników. Poniżej podajemy w całości piękne przemówienie p.Red.Stanisława Strzetelskiego./

. . . .

Byłoby rzeczą niewłaściwą, gdybym na tym zebraniu, na którym widzę tylu znakomitych znawców literatury pięknej, kusił się o zobrazowanie całokształtu twórczości Kazimierza Wierzyńskiego. Sądzę jednak, że obok głębokich analiz, docierających do istoty zjawisk, potrzebne są także - na użytek godzin i dni - choćby powierzchowne, ale krótkie i jasne formuły publicystyczne. Takie jest, właśnie, zadanie dziennikarstwa, które ołówkiem spisuje stenograficzny brulion historii.

Ja jestem dziennikarzem. W ciągu lat zgórą 20-stu przyzwyczaiłem się codziennie i na użytek dnia notować w krótkich artykulikach swe myśli i uwagi. I dlatego dziś także nie będę nużył Państwa długą mową, ani nadużywał cierpliwości znakomitego gościa - niewiadomo, dziś, amerykańskiego debiutanta czy polskiego jubilata - i ograniczę się do przeczytania krótkiego artykuliku, który ogłosiłbym w swym piśmie, gdybym je dzisiaj redagował.

\- - -

Nie stało się to przypadkiem, że pierwszą książką polską, jaką wydało wojenne uchodźtwo pisarskie w Ameryce - jest tom poezji Kazimierza Wierzyńskiego. I nie wynika ten fakt jedynie z wysokiej rangi pisarskiej znakomitego poety.

Zarówno miejsce jak i czas ukazania się tej książki wyrastają organicznie z głównych cech twórczości poetyckiej Wierzyńskiego.

Miejsce - dlatego, ponieważ Wierzyński jest przedewszystkiem poetą ruchu i wolnych, szerokich przestrzeni. Nie potrafiłby żyć i tworzyć bez swobodnego, szerokiego oddechu, w obcęgach przymusu, bez względu na to, czy byłby to drut kolczasty niewolniczego totalizmu, czy też uporządkowany przymus Huxleyowskiego "nowego, wspaniałego świata".

Z każdego wiersza poezji Kazimierza Wierzyńskiego bije prawda, iż "Navigare necesse est, vivere non necesse". Był on i jest zawsze niespokojnym duchem, żeglarzem na nieznanych wodach, podróżnikiem do nieodkrytej ziemi jutra. Był takim wczoraj, gdy z Barbakanu Warszawskiego "bardziej rozległy chciał ogarnąć widok", jest dzisiaj, gdy porywa nas wizją posągu narodu "z kaskiem nad czołem geniuszu i włócznią u boku".

I dlatego stało się szczęśliwym dla poezji polskiej zrządzeniem Opatrzności, że Kazimierz Wierzyński znalazł się dziś na wolnej ziemi Stanów Zjednoczonych i nie jest przypadkiem, że właśnie jego tom ukazał się jako pierwsza polska książka w Ameryce.

A czas ukazania się tej książki?

Któryż inny z poetów miał pierwszy odezwać się dzisiaj, w okresię, który swym tragicznym patosem przewyższa wszelkie inne epoki, jak nie Kazimierz Wierzyński, piewca bohaterstwa człowieka i narodu?

Żyjemy w czasach bohaterskich, o czem wszyscy wiedzą, i idziemy ku czasom bohaterskim, z czego nie wszyscy sobie zdają sprawę.

Kazimierz Wierzyński toczył poetyckie boje z wszelką w nas małością i krzewił pęd ku wielkości w dwudziestoleciu między dwoma burzami dziejowymi, wyśpiewał najpiękniejsze strofy o bohaterstwie polskiego żołnierza w obecnej wojnie, i wbrew znużeniu, które chytrze podkopaćby chciało ducha polskiego, mobilizuje nasze serca ku dalszej walce o Pol-

skę, nietylko wielką, ale mądrą, piękną i sprawiedliwą.
Kazimierz Wierzyński nie odmienił się, nie rezygnuje, nie kapituluje małodusznie w imię: wszystko jedno jaka, byle swoja i szybka. Pozostaje tym samym, co przedtym podżegaczem wielkości. Jeden z jego poematów zaczęty w r.1938 a skończony w r.1939 - po roku, który zdawał się wiecznością - na rytm tej samej myśli, ogień tej samej pasji, wiarę tej samej idei.

I zapytacie z czego wziąć siłę i wznosić
Po niewiadomo który raz poczęte dzieło,
Czy śmierci nie za mało, katakumb nie dosyć,
Gdy tyle ognia zgasło, tyle krwi spłynęło,
Z czego ludzie budować, gdy okrutne cięcie
Po twarzy i po dziejach przeszło znów jak skaza,
Powiadam wam - jest jedno na wszystko zaklęcie
I jedna nieprzebyta jest przed nami kolej,
Czy to kogo upaja, czy to kogo boli:
Z żelaza muszą powstać Polacy, z żelaza.

Wierzyński nie ogranicza się do tego, by nas wzruszać, smucić czy weselić. Wierzyńskiemu za Wyspiańskim nie wystarcza sztuka. Wstrząsa nami, gdy ze zmęczenia opadają ręce, chłoszcze, gdy dla wygody lub kompromisu budzi się w nas małość, mobilizuje serca, organizuje wolę.
I dlatego każda książka Wierzyńskiego jest nietylko wyrazem prawdziwej i wielkiej poezji. Jest także pozycją w rejestrze jego służby dla Polski.

Stanisław Strzetelski

Z a c h e t a i b z y.

Kupiłam na ulicy bzy. Przypomniała się Warszawa. Jak zwykle po nie wiem ile razy dziennie. Bzy... Jakże to sentymentalnie! Ale musiałam jakoś, bo mi zupełnie przypomniały nasze, tamte z dawnych lat, pęki bzu na wiosnę w Warszawie, sprzedawane wszędzie, na rogach ulic i na placach i koło Ziemiańskiej, i koło Zamku, i na halach, i na statku "Bajka" co jeździł w niedzielę po Wiśle hucząc orkiestrą i sławiąc wszelkie rozkosze majówki. Przez otwarte okno słyszało się, jak statek powracał wieczorem.
A bzy tutaj są zupełnie takie same, jak u nas. Aż to dziwi, bo przecie wszystkie kwiaty są tu inne. I dlatego tylko brzydsze, że nie własne... Żonkile zaduże i za żółte, a wszystkie poza tem kwiaty zbyt kolorowe, zamrożone, pięknie rozkwitłe, ale zupełnie tak jak i owoce bez zapachu i uroku. Ktoś mi tam tłomaczył, że to kwestia klimatu. Może być, ale bzy są takie jak u nas, tylko jest ich mniej o wiele na codzień, mniej poprostu ludzie potrzebują ich! W Teatrze Polskim w Warszawie, wybitna polska aktorka, którą wojna zagnała teraz aż tutaj, śpiewała:"Kwitną bzy w Pensylwanii..." Wszyscyśmy to sobie inaczej wyobrażali...Bzy! Stoją przedemną wetknięte sztywno w pseudo-ładny wazon od Wolworth'a. Bzy...To mi się nasuwa - wskutek tego co się zwie deformacją zawodową - jak zwykle - jakiś obraz. I przypomina mi się obraz Jacka Malczewskiego przedstawiający w zawikłany nieco sposób, chociaż naturalistyczny, namalowane bukiety bzu. I tytuł:"Moje ostatnie bziki".
Gdzie to widziałam? Kiedy? Ach tak, widziałam to na Salonie Do-

rocznym "Zachęty". Dawno to było, w Warszawie. W Pałacu Sztuki, który się zwie "Towarzystwo Zachęty do Sztuk Pięknych".

Stał ten pałac na placu otoczony drzewami. Nie umiem określić czy to był ładny dom, czy też bardzo brzydki, ale byliśmy do niego wszyscy warszawiacy bardzo przywiązani. Od dzieciństwa. Co niedziela widziało się tam krążące po cichych salach, wstępujące na chłodne schody marmurowe, zacne rodziny mieszczańskie, co się uczyły na obrazach Matejki polskiej historii. A któż nie wyczekiwał siedząc na środku pustej sali na zielonej pluszowej kanapie, któż tam pod obrazami Siemiradzkiego czy Brandta nie miał pierwszych pensjonarskich "randek"? Któż nie był przywiązany do tych obrazów i rzeźb w salach Zbiorów Zachęty, dzieł nie zawsze pierwszorzędnych, ale bardzo drogich sercu? Nie jeden z nas zamykając oczy powie z wielką pewnością co wisiało na prawo, na lewo, obraz po obrazie. W głębi Honorowej Sali znajdowała się "Bitwa pod Grunwaldem" Matejki. Wypełniała sobą ścianę od podłogi do sufitu. Tak jak dwa tutejsze piętra. Możnaby było godzinami mówić o tym obrazie pełnym czerwoności i złocistości, mówić serdecznie i boleśnie i dobrze, jak o kimś kto nie żyje... Bo obrazy zginęły jak ludzie... Na prawo wisiała scena z Quo Vadis, na lewo kilka mniejszych obrazów i wysoko pod sufitem umierająca Barbara obraz wzruszający...

Zachęta żyła lat kilkadziesiąt. Żyła chwalebnie i umarła chwalebnie. W końcu dziewietnastego wieku rola jej polegająca na rozpowszechnianiu w epoce niewoli sztuki polskiej, miała swoje wielkie znaczenie, tak kulturalne jak i patriotyczne. Znamienne były premie rozdawane członkom Zachęty /członków, popierających sztukę, było bardzo wielu/, premie w postaci chromolitografii reprodukujących malarstwo patriotyczne. Były tam więc rewie na Placu Saskim, były Grottgery, Juliusze Kossaki... Oczywiście instytucja ta do zarządu której należeli poważni starsi obywatele, nie mogła i nie chciała iść z prądem czasu w poszukiwaniach czysto artystycznych. Poza nazwiskami, które weszły już do historii sztuki polskiej Zachęta była bardzo konserwatywna, tak konserwatywna, że nawet obrazy Chełmońskiego były odrzucone w swoim czasie przez jury i musiały odbyć dość długą drogę zanim zawisły w Sali Honorowej. Pamiętne jest zdarzenie kiedy to prezes Zachęty zawiadomił Chełmońskiego: "Pański obraz przedstawiający trzy konie i dwa psy nie został przyjęty". Bo dla szanownych obywateli wartość istotną stanowiła przedewszystkiem treść obrazu. Malarze, bardziej niezależni uciekali wówczas do Krakowa. Mimo to jednak Zachęta trzymała się wytrwale i rok za rokiem na ścianach jej wywalczali sobie miejsca najpierwsi polscy artyści. W wolnej Polsce Zachęta przestała naturalnie wystarczać. Akademia Warszawska wydała na świat zastępy młodych malarzy i skupiła twórczych profesorów. Zachęta, odsunięta na bok, stara i niemodna, przetrzymała dzielnie bojkot ostatnich kilkunastu lat w czasie których powstał konkurencyjny Instytut Sztuki. Salon wszystkich młodych, tak zwany "I.P.S." Wszyscy się tam przenieśli. W Zachęcie w owym czasie wystawiali w salonach bieżących sami "kiczarze", ale zato sale muzealne rozszerzyły się tak, że dziewietnasty wiek sztuki polskiej był bardzo pięknie reprezentowany. I sale te, staroświeckie, przeładowane sztukateriami, miały jednak swą bardzo przyjemną atmosferę. Pamiętam pewien deszczowy dzień, kiedy się schroniłam do Zachęty i przypadkowo znalazłam się na dole, żeby spędzić niezapomnianą godzinę wśród poważnych twarzy prababek z portretów Simmlera.

Nie ma jej także, nie ma już tej "Zachęty". Zbombardowana, leży w ruinie tak jak wiele domów, których już nie zobaczymy po powrocie. Na placu, na skwerku przed Zachętą w owym pamiętnym wrześniu chowano poległych. W Zaduszki paliły się tam światełka. Jest taka fotografia: krzyże, światełka, a w głębi szkielet spalonej Zachęty.

Na placu tym pewnie teraz zielono. A bzy? Któż teraz bzy kupuje w Warszawie? Któż je maluje? Któż je zrywa?
Chyba do ubrania grobów.

Irena Lorentowicz

T i m e   b o m b. Powieść.
Ciąg dalszy.

Już nie była nawet zła na siebie. Dziwiła się tylko, że tak nagle zdecydowała się. Właściwie nawet nie zdecydowała się, tylko od razu powiedziała. A nawet nie ona powiedziała. Coś za nią mówiło. Teraz miała wrażenie,że siedziało w niej coś,co kazało jej tak zrobić,choć ona sama nie chciała. Ale to coś było silniejsze od niej i może - mądrzejsze.Więc właściwie nie ma czego wstydzić się. To on powinien raczej zadusić się, niż od niej coś przyjąć! Ale on nie zdradzał żadnych refleksji. Silny jak koń i głupi jak koń, pomyślała.I żłopie jak koń,zauważyła.

Pił rzeczywiście dużymi łykami,przerywając od czasu do czasu dla złapania oddechu. Gdy skończył odetchnął z taką ulgą, że zrobiło jej się dziwnie przyjemnie. Właściwie nic w tem dziwnego,pomyślała na swoje usprawiedliwienie.Gdyby pomogła cierpiącemu psu,także byłoby jej przyjemnie.Jednak zmarszczyła brwi,żeby nie pokazać tego po sobie.Ułożyła mu głowę na poduszce i zapytała poważnie,czy chce jeszcze,ale podziękował. Swoją drogą powaga ta przychodziła jej z trudem. Nie wiadomo dlaczego była wesoła i brwi musiała marszczyć przemocą.

-Dobrze,że się pani przełamała - usłyszała głos Mrs White. Może i w nim się co przełamie i przypomni sobie słowa o kamieniu i chlebie.

Dobrze staruszka powiedziała,ale nic się w takim nie przełamie, pomyślała Wanda. Ci Anglicy nie mają zielonego pojęcia o Niemcach.Żaden chleb nicby nie pomógł! A zresztą nie ma chleba... Na stole stały tylko ciastka. Ale właściwie on też nie rzucał kamieniami,tylko bombami...

Mrs White odgadła widocznie jej myśli,bo mrugała na nią wskazując na ciastka.

-Ciastko?- zapytała go Wanda po krótkim namyśle, uprzejmie ale chłodno,bo robiła to raczej dla Mrs White.

-O tak - odpowiedział. Więc usiadła koło niego na krześle i podawała mu łyżeczką do ust. Nie wstydziła się już tego wcale,tylko zła była,że o tej truciźnie niepotrzebnie tak gadała...

-Tak mówiłam, a teraz...- usprawiedliwiała się.

-Każda z nas mówi co innego,a potem robi co innego - odpowiedziała filozoficznie Mrs White.

-Wojna nie wojna,a kobieta jest kobietą - dodała bogata w doświadczenie życiowe Mrs Karfunkel.

-Ale ja wcale nie kobieta teraz,tylko człowiek z sercem!-odpowiedziała Wanda z takim oburzeniem,że ostatnia łyżeczka szczęknęła Niemcowi o zęby.Gdy przełknął,poprawiła mu jeszcze poduszkę z miną zawodowej pielęgniarki.

-Dziękuję - powiedział z niemiecka po angielsku.

-Lepiej? -zapytała tonem,który słyszała u Miss Violet.

-O lepiej,lepiej - powtórzył i chciał uśmiechnąć się,ale bał się,widząc jej powagę.Widziała to wyraźnie.

-Bardzo ładnie postępuje pani - chwaliła ją znowu Mrs White.-Może pomyśli sobie o tym miłosiernym samarytaninie.

Stara a taka naiwna! - myślała Wanda.- Taki prędzej pomyśli,że jestem niższą rasą, stworzoną do usługiwania Niemcom niż o miłosiernym samarytaninie! Ale ostatecznie,żeby mieć zupełnie czyste sumienie,można spróbować,czy się tam co poruszy w tym łbie...Ciekawe -jaką też miałby

minę,gdyby mu jeszcze dać papierosa?

-Teraz zapaliłby sobie,ja wiem! - powiedziała na próbę.

Pomysł jej spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem.

-Niech mu pani zapali!

-Koniecznie!

-Papieros? - zapytała go z obojętną miną.

Zrozumiał od razu i na chwilę zaniemówił. Potem uśmiechnął się i patrzał w nią jak w anioła. Stwierdziła to ponad wszelką wątpliwość. Widać było,że nie śmiał nawet marzyć o tym. Może...może i ta Mrs White miała rację?

-Papieros,papieros,papieros...- westchnął Niemiec.

Wciąż poważna,choć kosztowało ją to masę wysiłków,wyjęła z swojej torebki papierosa,włożyła mu w usta i zapaliła.Jeżeli to nie przełamie go,to nic nie pomoże,myślała obserwując go uważnie.

Było to zupełnie niespodziewane.Patrzał jej prosto w oczy i nagle, kiedy zaciągnął się dymem głęboko,bardzo głęboko,twarz dziwnie zadrgała mu a usta wykrzywiły się jak do płaczu. Nie wiedziała,co to znaczy,nie chciała samej sobie wierzyć,ale zobaczyła zupełnie wyraźnie w jego oczach łzy! Przez chwilę nie rozumiała nic.Czyżby naprawdę ten papieros coś w nim przełamał? Czuła coś w rodzaju zamętu w głowie. Czyżby istotnie ta staruszka miała rację? To byłoby wspaniałe! Takie zwycięstwo!Nie papierosa oczywiście,ale serca,zachodniej kultury,chrześcijańskiej miłości bliźniego! Logika i doświadczenie życiowe nie pozwalały jej wierzyć w zmianę człowieka od jednego papierosa,ale doświadczenie życiowe tyle razy skompromitowało się w czasie tej wojny. Łza spływała po policzku zupełnie wyraźnie i zadawała oczywisty kłam logice.

-Co mu się stało?On płacze - szepnęła wzruszona.

-Oj Boże, Boże...

-Płacze? Dlaczego?

-Właśnie nie wiem..

-Pewnie znowu boli go -westchnęła Mrs Karfunkel.

-Nic nie boli go! Dlaczego ma boleć go? - oburzyła się Wanda na tak materialistyczne wytłumaczenie łez.

-Boli,boli go z pewnością,bo on tak się zaciągnął tym dymem,że się cały poruszył.Ja widziałam -odpowiedziała Mrs White.

Rzeczywiście poruszył się.Wanda też widziała. Cały mundur na piersiach poruszył mu się,więc nic dziwnego,że go zabolało w tych stawach...

-Znowu boli? - zapytała go,żeby jednak upewnić się.

-Nie...nie bardzo -odpowiedział uśmiechając się przez łzy.

Wanda przygryzła wargi.Jeżeli nie bardzo,to jednak boli,więc te głupie łzy mają o wiele prostszą przyczynę,niż myślała.Ale przecie ona od razu nie wierzyła,że coś się w nim przełamie! Ta staruszka jest naiwna, on jest koń,a ja idiotka z moją chrześcijańską miłością bliźniego,pomyślała. Zła była na siebie, a równocześnie chciało jej się śmiać. Nie mogła jednak ani śmiać się,ani złościć,bo znowu bolało go.

-Nie,a łzy - powiedziała jak do dziecka i powycierała mu twarz chusteczką.

-Pięknie,pięknie - zachwycała się nią Mrs White.

Zachwycał się nią i Niemiec,bo mimo łez uśmiechał się do niej ciągle.I coraz bezczelniej! Widziała wyraźnie, że podoba mu się coraz bardziej i wyczuła w nim coś w rodzaju chęci flirtu.Też się wybrał! Już ona potrafi utrzeć mu nosa! Okazja nadarzyła się natychmiast.Zauważyła,że nie wszystkie łzy wypłynęły na zewnątrz.Więc robiąc poważną minę zawodowej pielęgniarki,ścisnęła mu chusteczką nos jak dziecku./Ciąg dalszy nastąpi/

Antoni Gwojdziński